Pomiędzy
Між
Между
Between
Zwischen
Entre

Polonistyczno-Ukrainoznawcze Studia Naukowe
vol. 3/2017, ss. 99–114
www.marszalek.com.pl/between/
DOI: 10.15804/PPUSN.2017.03.08

Andrij Sniżko*

Zakurzone myśli z donbaskiego frontu

Być może wielu czytelników tego eseju (zwłaszcza ukraińskich żołnierzy frontowych) obrazi się, zezłości lub najzwyczajniej w świecie dostanie szału. Ich reakcje są do przewidzenia: „I po co pisać pamflet na armię ukraińską?", „A gdzie patriotyzm?! Potwarz dla nas wszystkich!", „Autor obserwuje sytuację jak pod mikroskopem, wynajduje jakieś szczegóły i robi z nich problemy. A nasza armia to coś więcej niż tylko problemy!", „Dlaczego nie dostrzega drugiej strony medalu?", „Czy nie jest to lanie wody na młyn naszych wrogów?" itd., itp.

Ale cały ten tekst to nade wszystko szczere refleksje ukraińskiego oficera i uczestnika wojny, być może nieco skorygowane przez upływ czasu. Chcę rzucić światło na pewne wybrane problemy ilustrujące ogólną sytuację w wojsku ukraińskim i na froncie wschodnim. Przez wzgląd na obiektywne okoliczności, miłość do Ojczyzny, niemożność bądź niechęć do szerszego i bardziej krytycznego spojrzenia, często nie zwracamy na nie uwagi. Wygodniej jest nam mówić o pozytywach i osiągnięciach. Lecz jeśli będziemy tak postępować zawsze, omijając tematy ukryte i niedostępne, istotnie zmniejszą się szanse na nowy start dla Ukrainy. Porozmawiajmy zatem szczerze, w myśl reguł diagnostyki lekarskiej: wykrycie choroby i uświadomienie jej sobie to pierwszy krok w leczeniu i powracaniu do zdrowia.

Niestety, nie jest fizycznie możliwe zawarcie wszystkiego w jednym eseju. A przecież mówić jest o czym. Rzecz jasna nie tylko o sprawach złych i problematycznych. Dlatego też, moim skromnym zdaniem, sensownie byłoby skoncentrować się na losie człowieka, cywila, który w ciągu jednego dnia zamienia

* Kijów (Ukraina).

się w żołnierza i z bronią w ręku rusza bronić swojego domu i kraju. Jak czuje się taki człowiek? Jakie osobiste doznania i uczucia towarzyszą mu w tym czasie? Jak często staje przed koniecznością użycia broni? Jak mu tam w ogóle jest? I jak ma stamtąd powrócić? Spróbujmy wspólnie znaleźć odpowiedzi na powyższe pytania.

OD CZEGO ZACZYNA SIĘ ARMIA?

Była taka radziecka hurapatriotyczna piosenka. *Od czego zaczyna się Ojczyzna?* (*С чего начинается Родина?*). Odpowiedź przynosił już drugi wers: „Od obrazka w twoim elementarzu". A początkiem armii jest wezwanie przed komisję wojskową i drużynę mobilizacyjną powołaną, by dostarczyć cię na miejsce służby. Długo można na ten temat rozmyślać, dobierając właściwe słowa, ale wszystko zaczyna się od drogi. Wyruszenie w daleki szlak służby wojskowej u różnych narodów świata i w różnych epokach historycznych odbywa się na różne sposoby i niesie ze sobą wiele znaczeń.

W pamięci naszych dziadków żywe są wspomnienia usmolonych pociągów, nabitych mięsem armatnim – ogolonymi „na zero", w jakiś dziecinny sposób śmiesznymi mężczyznami. Pociągi te żwawo przecinają przestrzenie „wielikogo i nieruszymogo", dostarczając sołdatów na front „wielkich" radzieckich zwycięstw.

Ojcowie dzielą się już odmiennymi reminiscencjami. Ktoś wspomina ciężarówkę pełną poborowych, pozostawiającą w końcu zasmuconym rodzicom i ukochanym łzy oraz jadowitą chmarę przegrzanego oleju napędowego. Albo opowieści o archaicznych pojazdach – pazach, rafach, ikarusach, które wywoziły w stronę Czarnobyla zmobilizowanych naprędce studentów – „ochotniczych" likwidatorów (często zwyczajnie wyłapanych z zajęć na uczelniach, bądź wyciągniętych z łóżek w akademikach), aby naprawiali cudze pomyłki w gorącym osiemdziesiątym szóstym.

A nasze „pokolenie pepsi" dobrze zna fabuły amerykańskich filmów akcji, przebojów kinowych o różnych „piechotach morskich" i innych „zielonych beretach". Żołnierze w przypływie brawury i odwagi trafiają na pola bitew superszybkimi helikopterami, samolotami transportowymi czy na pokładach potężnych krążowników.

Na takich właśnie odmiennych doświadczeniach wychowywało się moje pokolenie trzydziestolatków, dopóki do drzwi naszej „glinianej chatki w wiśniowym sadku" nie zastukał namolny rosyjski sąsiad z pretensjami do naszej „powierzchni mieszkalnej". Odtąd zaczęliśmy nabierać własnych doświadczeń

z trafieniem do wojska i pozostawaniem tam. Porównania ze wschodnim sąsiadem pozostawały jednak aktualne.

Przychodził on do nas po cichutku, nierzadko pod osłoną nocy, zazwyczaj z odprutymi wojskowymi znakami rozpoznawczymi, przez co określano go jako „niezidentyfikowanego zielonego ludzika". Wszyscy ci „ochotnicy", „pospolite ruszenie" – *opołczeńcy* i „urlopowicze" w nowiutkich rosyjskich mundurach trafiali na Ukrainę ukradkiem, w trakcie podróży zmieniając kilkukrotnie rodzaj transportu, aby zgraje rosyjskich „karaluchów" nie wypłynęły gdzieś potem na amerykańskich zdjęciach satelitarnych, które w przyszłości będzie uważnie oglądać trybunał w Hadze. Ukraińcy natomiast powitali wroga z otwartą przyłbicą oraz sercem: liczni ochotnicy stanęli w kolejkach do komisji wojskowych podczas pierwszej fali mobilizacji, niektórzy straceńcy samodzielnie formowali oddziały, biorąc na siebie pierwsze uderzenie okupanta, zmobilizowani w ramach kolejnych sześciu fal pociągnęli sznurem na Wschód.

Ostatni z tych rodzajów bezpośrednich doświadczeń stał się również i moim udziałem, kiedy objęła mnie szósta fala mobilizacji wiosną 2015 roku. Zajechałem do niej, jak i reszta zmobilizowanych z Kijowa, luksusowym i komfortowym autobusem mercedes, który woził nas po wojskowych bazach przygotowania frontowego od Połtawy do Charkowa. Podróżując takim autobusem – z klimatyzacją, schłodzonymi napojami i kawą – możesz mieć wiele różnych i kuriozalnych odczuć (dziwne, ale zorganizowała to dla naszej zmobilizowanej drużyny kijowska komisja wojskowa – niebywały luksus jak na przedwojenne standardy). Jedziesz tak sobie przez historyczne centrum Połtawy, podziwiasz wielowiekowe piękno miejskiej architektury i myślisz, że jutro będziesz w wojskowych trzewikach maszerować po placu w jednostce, a już za tydzień czy dwa będziesz nimi ścierać kurz z donbaskich stepów… Życie pełne jest przeciwieństw i wyzwań.

DUMY, DUMY MOJE…

Myśli w drodze na front (które już przy tobie pozostaną) zawsze są trwożne. Toczą cię niejako od środka. Jedni myślą o rodzinie, inni o miłości, niewykorzystanych szansach, pieniądzach, o tym, co nie wyszło w biznesie, o ulubionym psie, który wył przez całą noc i cały kolejny dzień, wył także, odprowadzając swego pana z ciężkim plecakiem w nieznane – czy powróci?…

To zazwyczaj kluczowa kwestia. Najbardziej frapuje ciebie samego. Męczy cię również myśl – jak Tam będzie beze mnie, a jak po powrocie? Kategoria „Tam"

na wojnie oznacza „Wielką Ziemię", służba w wojsku zaś jest niczym życie na wyspie. Często bardzo odległej i bardzo samotnej…

Właśnie z pójściem do woja (jak i powrotem z niego) wiąże się jeden z najdotkliwszych problemów człowieka na wojnie – syndrom pourazowy (znany również jako zespół stresu pourazowego lub „syndrom wietnamski"). O zjawisku tym dowiedzieliśmy się dopiero z amerykańskich filmów o szeregowcach Ryanach, co szli do „diembiela" (demobilizacja w rosyjskim żargonie wojskowym) z niezwyciężonej armii USA po wojnie w Wietnamie, a następnie w Iraku. Ich włochate torsy uginały się wprawdzie od licznych medali i orderów, na które zasłużyli w bojach, ale ich głowy wypełniały niepotrzebne myśli o wojnie. Następnie człowiek próbował się odnaleźć w cywilnym życiu, codziennej pracy, relacjach rodzinnych. Aż w końcu jakiegoś pięknego jesiennego dnia sezonowa melancholia przeradzała się w coś niepojętego i demonicznego. Były bohater wojenny, dziś pakowacz w supermarkecie lub menadżer średniego szczebla w przeciętnej firmie nagle dostawał świra. Na uprzejme pytanie kolegi – „Czy nie dodajesz do kawy za dużo cukru? Pamiętaj o ryzyku cukrzycy!" – brał jako zakładników wszystkich wokół, a potem zapowiadał na ekranie topowego kanału telewizyjnego, że przemieli wszystko na krwawą jatkę, jeśli go nie wysłuchają…

Wątpliwe jednak, czy zdoła on powiedzieć cokolwiek zasadniczo nowego. Człowiek wpadł po prostu w psychologiczną przepaść negatywnej autorefleksji i niemożności samospełnienia. Nie zdołał się odnaleźć. Na froncie był wszystkim i miał wszystko, a teraz co?… Ludzie-cienie, pełzający co dnia z pracy do pracy, przeżuwający jak gumę rutynę życia, niespiesznie sączą kawę z rumem albo dżin z tonikiem w kawiarni naprzeciw, bawią się w klubach, rozbijają się swoimi fordami, beemkami czy mercami po miejskich arteriach, gdy ponad tym wszystkim góruje permanentna pustka i niezrozumienie, a tam przecież strzelają i chłopcy giną każdego dnia! Mój bliski przyjaciel Saszko, który przeszedł wraz ze mną mobilizację, w domu długo nie mógł się odnaleźć, samotny w pustym mieszkaniu, tylko z kolekcją nożyków przywiezionych ze strefy Operacji Antyterrorystycznej (ATO). Stale zadręczając się pytaniem: „Dlaczego nie zostałem ze swoją rotą? A może należy wracać?"

Jednak syndrom pourazowy działa również w kierunku odwrotnym, kiedy z „cywila" trafia się w wojskową codzienność. Tak właśnie było ze mną. Cały ten syndrom odczuwasz na własnej skórze, kiedy dosłownie łamie cię od środka. A na domiar złego jednocześnie usiłują złamać cię także od zewnątrz – zgodnie z wymogami systemu, dowództwa, praw i obowiązków żołnierza.

Tak bywa. W domu tyrałeś na trzech etatach, co dzień dokonywałeś czegoś nowego, pożytecznego i dostrzegalnego, cieszyłeś się z własnych osiągnięć i twórczych sukcesów – i oto raptem wszystko się wali. Lądujesz zamknięty w czterech umownych ścianach, a gdzieś z góry oblicze jakiegoś sowieckiego „komandira" wydaje ci rozkaz „kopania rowów stąd aż do wieczora"… Na próżno protestujesz, odwołując się do logiki i zdrowego rozsądku! Facjata o trzech podbródkach, śliniąc się, wykrzykuje: „Do szeregu! Wykonać! Robić jak mówię! Znam się, bo mam życie za sobą".

Doświadczeni ludzie służby powiadają, że w tym systemie opór równy jest samozniszczeniu. Należy się poddać i pogodzić. Przyznam się jednak, że nigdy mi się to nie udało na przestrzeni miesięcy spędzonych w wojsku. Młodzieńczy nonkonformizm wziął górę, chociaż nie bez problemów.

Niemniej jednak kryzys adaptacyjny to zaledwie jedna ze stron medalu. Myśli, które toczą cię od środka na froncie i w armii, jest o wiele więcej.

Poważnym sprawdzianem dla psychiki jest myśl o niewoli, choćby i potencjalnej. To ważne dla każdego. O dziwo, większość wyobraża ją sobie bez lęku, zupełnie racjonalnie, na zimno. Informacje o niewoli czerpaliśmy dzięki bezpośrednim kontaktom z tymi, którzy jej zaznali. W moim 21. batalionie 56. brygady taką postacią był Ołeksandr Melnyczenko, zastępca komendanta batalionu pracy wychowawczej (po staremu, sowieckiemu „politruk – politiczeskij rukowoditiel", kierownik polityczny). Na kursach przekwalifikujących dla oficerów był nim jeden z lekarzy. O ludziach takich rozmawiano szeptem, z szacunkiem i lekkim drżeniem głosu: „Przecież wiesz, że był u tamtych. Tyle wycierpiał… Ale widzisz, znowu jest z nami! To jest gość!" W ten sposób kształtował się pogląd, że niewola to najgorsze, co może się przytrafić (wszak śmierć przychodzi tylko raz, niewola i tortury mogą przedłużać się latami), do tego nieoczekiwanie, wtedy właśnie, gdy najmniej się tego spodziewasz. Linia frontu wschodniego jest nazbyt cienka i umowna, aby uwierzyć, że jesteś bezpieczny, nawet jeśli przebywasz na drugiej czy trzeciej linii obrony. Nie wspominając już nawet o „szarej strefie" (tak zwana ziemia niczyja pełniąca funkcję umownego bufora między przeciwnikami, mimo że nieustannie odbywa się na niej jakiś ruch, mieszkają tu stale miejscowi ludzie) czy o stałych przemieszczeniach pomiędzy liniami.

Być może właśnie dlatego w obliczu tej „cienkiej czerwonej linii" między wojskowymi wciąż zawiązują się rozmowy o niewoli, wspomina się tych, którzy do niej trafili, omawia głośne epizody publicznego znęcania się przez rosyjskie zbrojne bojówki nad naszymi chłopcami przed kamerami rosyjskich kanałów telewizyjnych.

Najwięcej mówiono o bydlakach Motoroli oraz Chirurgu. Zwykłe kanalie, jakie dziesiątkami i setkami Rosja spławiała do ukraińskiego „kotła", utylizując tym samym społeczne odpady, mogące stwarzać problemy wewnątrz „nieruszymoj".

Pierwszego wyróżniała tchórzliwa natura, lecz także miłość do bezlitosnych i brawurowych zabójstw ukraińskich jeńców wojennych. Zwłaszcza ochotników, snajperów, strzelców wyborowych. Historia o tym, jak torturował i brutalnie zamordował Ukraińca Ihora Branowyckiego, znana jest dziś na całym świecie. Przyjdzie jeszcze za to odpowiedzieć, nawet po ogłoszeniu informacji o śmierci tego łajdaka. Drugi z tych indywiduów jest mniej znany cywilnemu ogółowi, ale z pewnością słyszeli o nim wojskowi. Jak wieść niesie, Chirurg był felczerem czy weterynarzem gdzieś w Rosji. Kiedy trafił na ukraiński Wschód jako „rdzenny powstaniec", zaczął na całego realizować swoje medyczno-sanitarne talenty na ukraińskich jeńcach, jednak ze skłonnością do sadyzmu. Wykonywał na żywca rozmaite operacje, pozbawiając ludzi pewnych organów i lubując się ich powolnym konaniem. Szczególnie przypadło mu do gustu wycinanie narządów płciowych u mężczyzn i kobiet…

Poza takimi radykalnymi precedensami wschodnia niewola mogła przybrać bardziej „banalny" obrót – rozstrzelanie lub długotrwałe gnicie w piwnicach ugrupowań terrorystycznych, co nierzadko kończyło się kalectwem.

Wiedząc o takich rzeczach, ukraińscy wojskowi skrupulatnie szykowali się do ewentualnej niewoli. Nade wszystko przygotowywali się psychicznie. Ale czy można być na to gotowym w stu procentach?

Przed udaniem się na front pozostawiłem swemu najlepszemu przyjacielowi i zaufanemu do spraw „Wielkiej Ziemi" szczegółowy testament. Rodzina o tym nie wiedziała (oficjalna wersja długiego wyjazdu w nieznane: długotrwała delegacja), byłoby to dla niej szokiem i wywołałoby wiele niepotrzebnych pytań, słów, łez, prób powstrzymania itd. Tego właśnie, czego nie trzeba żołnierzowi opuszczającemu dom – być może na zawsze…

W takiej sytuacji wręcz przeciwnie – człowiek potrzebuje pewności. Może dlatego właśnie liczni przyjaciele z frontu proszą się nawzajem, by nie stchórzyć i w krytycznym momencie dobić towarzysza broni własną kulą, by ten nie trafił do barbarzyńskiej niewoli, nie cierpiał tam bólu. Najczęściej jednak w tych sprawach polegamy na sobie.

Inny mój towarzysz broni to zaledwie dwudziestoletni żołnierz Serhij Nenia. Spotkałem się z nim w późniejszych etapach wojny, już wcześniej jednak zyskał szalone doświadczenie bojowe, szczególnie podczas oczyszczania lotniska w Doniecku. Pewnego razu opowiedział mi swoją historię. Rozpoczęła się ona

w maju 2014 roku w Kirowogradzie (obecnie Kropywnycki), gdzie dyslokował się 3. pułk jednostek specjalnych rzucony do walk o lotnisko w pierwszej kolejności. Rosyjskie bojówki zostały tam wpuszczone bez walki przez zwerbowanych przez Rosjan funkcjonariuszy ukraińskich służb specjalnych.

> Nas, żołnierzy służby zasadniczej wezwano w nocy na alarm – opowiada Serhij Neni. – Pomyśleliśmy, że to, co zawsze – alarm ćwiczebny i przyjęliśmy to nawet z humorem. Jednak od razu coś poszło nie tak, bo wszystkich nas zaprowadzono do magazynu broni i nakazano nie brać niczego zbędnego – tylko broń osobistą, większą ilość sztuk amunicji i granatów. Większa ilość jest wtedy, kiedy masz już napchane wszystkie kieszenie, ale upychasz naboje do majtek i za pazuchę. W ekwipunkach praktycznie nie zostało miejsca na prowiant. Dowództwo uspokoiło nas jednak, że to nie na długo. Ale docierało do nas, że dzieje się coś poważnego. Co mianowicie, mieliśmy zrozumieć, kiedy lotnictwo przerzuciło nasz oddział w rejon lotniska w Doniecku i kiedy podjęliśmy walkę z analogicznymi rosyjskimi pododdziałami do zadań specjalnych. W tych niełatwych pierwszych starciach wyparliśmy wroga z terminali i zajęliśmy obiekt. I wtedy właśnie pojęliśmy, że w boju, jaki by on nie był, zawsze należy zachować dla siebie ostatni granat. Nauka ta przydawała się później niejednokrotnie, chociaż, na szczęście, nie przyszło nam skorzystać z niej do końca…

UKRAIŃSKA ARMIA RADZIECKA

I takie właśnie mądre, świadome, mocne duchem i ciałem jednostki utworzyły szkielet nowej armii ukraińskiej, której formowanie rozpoczęto w 2013 roku. Warto zauważyć, że krytykując rosyjski margines społeczny, który Federacja zrzuca na Ukrainę, nie można nie wspomnieć o obecności podobnych elementów w wojsku ukraińskim. Mimo to proporcje czysto arytmetyczne, nie wspominając już o znaczeniu morale i poziomu patriotyzmu w tych dwóch formacjach wojskowych, różnią się zasadniczo. Fundamenty nowej armii stawiają ludzie świadomi swej, nie przesadzając, misji historycznej, pełni gotowości do poświęcenia się dla niej. Chociaż wojna i zwycięstwo naprawdę nie wymagają aż takich „wysokich materii", heroizmu ukraińskich Prometeuszy. Wymagają jedynie zdolności do ciężkiej i nudnej rutynowej służby, dyscypliny, mocnej psychiki, zdolności do zaadaptowania się w trudnych sytuacjach – wytrzymać cios i ciosem odpowiadać.

Podkreślmy, że proces formowania się nowej armii ukraińskiej przedłuża się do dziś. Obecnie jest ona w okresie przejściowym mimo wszystkich kategorycznych zapewnień ukraińskiego wyższego dowództwa i prezydenta, że mamy już nową, profesjonalną armię. Wykonano jednak kilka znaczących kroków.

Po pierwsze, pozytywnym krokiem było połączenie młodych i zawziętych patriotów z Majdanu z fachowymi wojskowymi, milicją i przedstawicielami innych resortów siłowych, którzy służyli staremu systemowi i władzy, ale poza aspektami ideologicznymi i politycznymi mieli poważne przygotowanie profesjonalne i doświadczenie w przeprowadzaniu operacji siłowych. Dało to możliwość nalania „młodego wina" do „starych pucharów", tworząc osobliwy mezalians stanowiący dziś obronę kraju przed potężną armią rosyjską.

Po drugie, dołączyła do tego fala ochotników – kontyngent wielce pstrokaty: od weteranów wojny w Afganistanie i Iraku do chłopaczków, którzy ledwie co zakończyli nauki szkolne, a wojnę na Wschodzie wyobrażali sobie jako kolejną misję do przejścia w komputerowej strzelance.

Trzecią kategorię naszych wojaków stanowią kadrowi wojskowi, którzy byli rozrzuceni po różnych jednostkach z niekończącymi się numerami w nazwach – od Ługańska do Czopa. Są to ludzie w różnym wieku i randze, którzy miesiącami i latami pchali wózek swej niewdzięcznej służby, pozbawionej motywacji i najmniejszych aluzji do bojowego charakteru. Staczali się po cichu, strzygąc trawę na placu do ustalonej wysokości i zaglądając aktywnie do „wojennej szklanicy", dopóki zupełnie nieoczekiwanie do ich życia nie wdarła się wojna. Całkowicie realna… z utratą terytoriów, kalectwem, ciężkimi obrażeniami, pogrzebami starych przyjaciół i krewnych. Zmusiła ich do opamiętania się i wspomnienia słów roty przysięgi na wierność narodowi Ukrainy, sprawiła, że wreszcie poczuli się potrzebni. Jeszcze jedną kategorię, którą bezwzględnie warto wymienić, stanowią kondotierzy z wojsk cudzoziemskich, którzy w ten czy w inny sposób zaczęli utożsamiać się z Ukrainą: pochodzili stąd, mieli tu ukraińskich krewnych, jakieś swoje sprawy; bądź z wojną, którą narzucił Ukraińcom wschodni sąsiad (nienawidząc Rosjan z własnych powodów).

Modelowym przykładem jest major wojsk amerykańskich Marko Pasławski (Mark Paslawsky), pochodzący z ukraińsko-amerykańskiej rodziny. Kiedy tylko wybuchła wojna, stanął w szeregach ukraińskiego wojska w stopniu szeregowca (zgodnie z ukraińskim ustawodawstwem cudzoziemskie stopnie wojskowe są niwelowane do poziomu szeregowego), oddając życie za Ukrainę pod Iłowajskiem. Wśród takich bojowników było i jest wielu obywateli innych, przyjaznych Ukrainie krajów: Polski, Gruzji, Czeczeni, państw bałtyckich, Izraela itd.

Był pośród nich także mój towarzysz z wojska o pseudonimie „Instruktor Alex" (prawdziwe dane osobowe i służbowe są poufne ze względów bezpieczeństwa) – były obywatel Izraela, który uzyskał ukraińskie obywatelstwo i podjął służbę w wojsku na zasadach ogólnych, by walczyć. Ma ogromne doświadczenie bojowe we współczesnych operacjach specjalnych, pracował również w izraelskich służbach specjalnych i strukturach siłowych, zatem jego wiedza okazała się bezcenna w procesach formowania nowej armii i przekwalifikowywania starych kadr – wraz z grupą innych instruktorów inicjował programy przygotowawcze dla różnych pododdziałów Sił Zbrojnych Ukrainy (ZSU) i formacji ochotniczych.

Spędziliśmy z nim niejedną godzinę na rozmowach o poziomie nowego wojska ukraińskiego. „Alex" wskazał nasz podstawowy problem – w ZSU nie istnieje dziś nawet system przygotowania bojowego. Jest tylko na papierze. Ludzi nie uczy się właściwego trzymania broni, w bojowy sposób. Wszystko jak w czasach I wojny światowej! Wiele rzeczy zrobiono wyłącznie dla ozdoby. Jednak priorytety nowoczesnej armii są obecnie diametralnie inne. Nie musi być ładna, powinna być za to profesjonalna i umieć zabijać. Gwoli przykładu, taka właśnie jest armia izraelska. Potwierdzenie tych alarmujących przemyśleń odczułem na sobie, gdy całą naszą 56. brygadę wyprowadzono na rotację w piaszczyste lasy i pola obwodu dniepropietrowskiego. Przemęczeni i wycieńczeni wojną żołnierze mieli nadzieję, że rotacja zapewni im jakiś minimalny odpoczynek i wyzdrowienie, zwiększenie zdolności bojowej, zamiast tego pododdziały z setkami ludzi praktycznie porzucono – bez ciepłego prowiantu, łaźni, normalnych miejsc do życia (zastąpiły je dziurawe brezentowe namioty z lat siedemdziesiątych, które przed deszczem zabezpieczano biurową taśmą klejącą).

A po trzech dniach na przeglądzie ogólnym brygady zjawił się nareszcie jej dowódca, pułkownik Andrij Melnyk (typowy sztabowiec i *homo sovieticus*) z objawami kilkudniowej alkoholowej intoksykacji i oświadczył: „Gówno jesteście wszyscy, ale macie fajne czołgi!"

Na tym praktycznie skończyły się wskazówki co do służby, a zaczęła tradycyjna część „skarg i zażaleń". Rzecz jasna, nikt nie zachował milczenia. Ci, co już powąchali prochu, bez względu na „tabelę rang" walili swą prawdę prosto z mostu. Niestety, poza paroksyzmami wzajemnych emocji, te słowne przepychanki nie zakończyły się niczym konstruktywnym. Dowódca brygady zrugał komendantów batalionów w stylu: „barany, o ludzi nie dbacie, przytrę wam rogi, patrzcie tylko – trzewiki nawet mają niewyczyszczone, mordy nie-

ogolone!" A następnie starczym krokiem poczłapał dopijać bełty z tymi samymi dowódcami batalionów.

„O jakich czystych butach może być mowa w warunkach polowych, dajmy na to w piaskach ATO, gdzie w ciągu dziesięciu minut całkiem pokrywają się one kurzem?" – zareagował na wspomniane wyżej zarzuty „Alex", dodając:

> Buty należy tu czyścić wyłącznie po to, by zyskały dłuższe „życie". Ale, jeśli stale będziesz szlifować buty lub blachę rzemieni na błysk, to już w pierwszym starciu „zdejmie" cię snajper. Broń należy nosić nie tak, jak napisano w starych książkach, ale tak, jak wygodnie, jak mówią instrukcje bezpieczeństwa obchodzenia się z bronią, by zawleczka nagle się nie ześlizgnęła i żołnierz przypadkiem nie zastrzelił swojego towarzysza broni. W nowoczesnej armii wszystko nie jest już tak jednoznaczne, jak przewidywały podręczniki. Armia bojowa różni się zasadniczo od armii „parkietowej". Bitwa i wojna to całkiem inne realia!

Z powyższych opisów wyłania się również kolejny istotny problem – kadra oficerska nowoczesnej armii. Jeśli na niższym i średnim poziomie jest ona dosyć wartościowa, to oficerowie wyższego szczebla, począwszy od dowódców batalionów i brygad aż po Sztab Generalny, są ludźmi skrajnie konserwatywnymi, jajogłowymi, pozbawionymi elementarnych predyspozycji komunikacyjnych i moralnych, do tego często są skorumpowani. Nie pozwalają, by armia ukraińska stała się prawdziwie silna, skuteczna i zwycięska, natomiast ukraińska władza niczego nie robi w kierunku tych zmian…

Większość z nich kształciła się w odpowiednich szkołach i akademiach. To „naukowcy", którzy wyszli zza szkolnej ławki i w najlepszym razie uczyli się na filmach i dawnych schematach. Ale nigdy nie przepracują tego w warunkach polowych. Człowiek siedzący w ławce nie może być wojownikiem. A skoro tak, to jak może zapewnić zwycięstwo swojej armii?

Jak twierdzą zagraniczni eksperci, oficer bojowy powinien poznać „naukę wojny": najpierw podszkolić się jako żołnierz, aby później lepiej zrozumieć swoich żołnierzy. Potem nauczyć się być dowódcą drużyny, żeby zrozumieć, jak nim być. Następnie dowódcą plutonu itd. Dowódca musi nade wszystko opanować dowódcze praktyki, a nie himalaje wiedzy, które rozpościera przed nim wyższe wykształcenie.

Interesujące, że nasi izraelscy przyjaciele w ramach przekwalifikowania oficerów ukraińskich (część z nich przyszła z „cywila") uczyli ich nawet wydawania rozkazów odpowiednim głosem „doprawionym" koszarową łaciną celem więk-

szej wyrazistości i szybszego przyswajania (w systemie komunikacji wojskowej mocno zakorzeniony jest tak zwany „prosty żołnierski język", rzucanie mięchem, które mogłoby zostać odrębnym przedmiotem badań filologów, bo niezależnie od bazy etnicznej i lingwistycznej jest on zrozumiały zarówno dla Ukraińców, jak i Rosjan, dla wojskowego z Izraela, jak też z USA).

A zatem przy tych wszystkich zmianach jedynym obiektywnym miernikiem wartości kandydatów na ważne stanowiska oficerskie winno być doświadczenie bojowe, a nie lata przesiedziane przez generałów i pułkowników na ciepłych sztabowych posadkach, nie ilość odznaczeń na owłosionych torsach, nie kumoterstwo z ministrem czy prezydentem. Tak już potoczyła się historia, że za cenę wielkich ofiar ludzkich zdobyliśmy i kadry, i doświadczenie, i mamy już kogo posadzić za kierownicą nowego wozu bojowego. Brakuje jedynie woli politycznej…

Opieszałe wdrażanie systemowej rotacji kadr szkodzi całemu systemowi, odsuwa od armii patriotów i prowadzi do tego, że „chora materia" przesiąka do zdrowego ciała. Odczułem to od razu na sobie, jeszcze na etapie przedfrontowego szkolenia w Charkowie, kiedy znalazłem się oko w oko z tym idiotyzmem i konserwatyzmem. Rozkładało to mnie oraz cały kolektyw zmobilizowanych od wewnątrz. A jednocześnie idiotyzm ten miał całkiem prozaiczne miano i stopień – podpułkownik Onacki.

W ciągu zaledwie paru tygodni naszego szkolenia mężczyzna ów był dwukrotnie hospitalizowany w związku z zatruciem alkoholowym, co jednak nie przeszkadzało mu w nieustannym przypominaniu nam, że jesteśmy „balastem, który zapewne zginie, jeśli nie w pierwszym, to w drugim starciu już na pewno". Niemniej zawsze swe „ojcowskie wskazówki" podsumowywał słowami: „No cóż, jesteście facetami, trzymajcie się!" Za co mianowicie winniśmy się trzymać, zademonstrował pewnego razu w praktyce podczas strzelania na poligonie, kiedy pijany w sztok upadł pod ciężarem karabinu. Co prawda ten nieszczęsny podpułkownik nawet i w takich sytuacjach starał się trzymać fason, wyjaśniając, że „prawdziwy oficer ukraiński nawet po pijanemu winien upadać zwrócony głową w stronę ojczystej jednostki, ale w żadnym razie nie dupą, to bowiem równe jest zdradzie i bezczeszczeniu munduru".

Wojna, na szczęście, wykazała: im bliżej frontu, tym mniej takich szaleńców i małych dyktatorów, których czeka co najmniej zmiana zawodu. Ale, prawdę mówiąc, tacy na front nie trafiają, bo resztkami rozumu pojmują, że zarobią tam pierwszą kulę: jeśli nie wrażą, to z pewnością swoją.

A zatem, biorąc pod uwagę tak przykre doświadczenia, nietrudno zgodzić się z poglądem, który wyraził Cwi Arieli – inny izraelski specjalista od reform

w armii ukraińskiej. Jego zdaniem recepta na sukces ukraińskiego wojska nowej generacji składa się z trzech elementów: nie powierzać życia żołnierzy idiotom, stworzyć dobrą motywację dla żołnierzy, zapewnić mądre kierownictwo armii – przestańmy być „małpami z karabinami". Na przestrzeni miesięcy, obserwując od wewnątrz życie armii, mogę z pewnością stwierdzić: ukraińscy żołnierze są ludźmi o silnej woli i wyjątkowej determinacji: pragną ochronić Ukrainę przed wrogami, uczynić ją prawdziwie wolną i silną. Tym osobowościom wystarczy energii i cierpliwości, by zbudować nową armię, żeby zwyciężyć.

NO I JAK TAM?

Pytanie to najczęściej zadawano mi po wojnie. Ale trudno jest odpowiedzieć na nie jednoznacznie. Na tej hybrydowej wojnie bywa różnie…

Można dniami i tygodniami przebywać w jakimś punkcie na pierwszej czy drugiej linii obrony. I nic się nie dzieje. Po prostu nic. I tyle. Słońce wstaje nad donieckim stepem, wiatr gna je naprzód, ono schodzi coraz niżej – i oto minął dzień, oczekujcie następnego. W warunkach takiej prozy życia, dyżurów bojowych, śniadań/obiadów/kolacji żołnierz się nudzi i szuka dla siebie zajęcia. I tu zazwyczaj zaczyna się przygoda. Jak to mówią, jeśli wróg nie nadchodzi, to sami sobie stwórzmy przygody… Ale o tym za chwilę…

Jak już wspomniano, wojska ukraińskie rozrzucone są na linii granic administracyjnych wzdłuż okupowanych obwodów donieckiego i ługańskiego. Między Rosjanami i Ukraińcami rozciąga się „ziemia niczyja".

Już na naszym terytorium rozmieszczono trzy eszelony obrony powołane do osłaniania się nawzajem. Nie są to stałe fortyfikacje, lecz zbiór umocnień (blindaże w ziemi, betonowe konstrukcje na wzór radzieckich stałych stanowisk ogniowych, ogromne żelbetowe bloki, zdobione przez ukraińskich mistrzów oryginalnym ornamentem, mające na celu zatrzymać czołgi i pojazdy opancerzone) i punkty kontrolne. Do tego jeszcze cały szereg baz i miejsc gromadzenia sprzętu wojennego i zasobów ludzkich, które można szybko zmobilizować do walki.

Ja na przykład wraz z częścią batalionu przez długi czas przebywałem w elewatorze jednego z donieckich przedsiębiorstw z kapitałem państwowym w miejscowości K. Dyrektor był ukraińskim patriotą i sympatyzował z armią, a do tego, najwidoczniej, był mądrym i przedsiębiorczym człowiekiem. Pojął: jeśli część swojego terytorium oddać na potrzeby ZSU, podzielić się z nimi elektrycznością i wpuścić żołnierzy pod prysznic dla robotników, to pod postacią wojska otrzyma

się pewną i bezpłatną ochronę zasobów gospodarczych w burzliwych czasach. Nie zważając na wojnę, przedsiębiorstwo energicznie pracowało. Codziennie przybywały tu ciężarówki ze zbożem. Ale zawsze istniało ryzyko, że przyjadą „źli chłopcy" i zechcą położyć łapska na tym zakładzie, jak to bywało w strefie okupowanej już nie raz.

Natomiast pododdział mojego kolegi z grupy na studiach i przyjaciela w życiu jeszcze przed służbą, Saszki Hrabowskiego, stacjonował w sąsiedniej Wołnowasze na porzuconej fermie trzody chlewnej, którą żołnierze przeorganizowali na umocnioną kryjówkę wojenną. A dla porządku jeszcze trzymali tam świnię, którą karmili przez pół roku, a potem – przy okazji jakiegoś święta – rytualnie zastrzelili i zjedli. Łańcuchy pokarmowe w armii i w naturze, co zrobić…

Większość innych pododdziałów, szczególnie Gwardia Narodowa ze współczesnym wyposażeniem produkcji ukraińskiej (pojazdami typu spartan, kozak, BTR-4) oraz amerykańskimi samochodami terenowymi hammer, zajęła międzynarodowe lotnisko w Mariupolu, dzierżąc tam obronę, a jednocześnie utrzymując jeden ze sztabów. Był to dość osobliwy widok: nowoczesny, przeszklony terminal z napisem „Welcome!" oraz nazwą portu lotniczego, od niego ciągną się jakieś liny, na których suszą się przeróżne skarpetki, bluzy, podkoszulki moro itp., obok dymi jakaś koza, wyryty okop ze stanowiskami ogniowymi, w którym nieśpiesznie ćmią papierosy umundurowani osobnicy. Mimo rzekomego spokoju wszystkie te pozycje w każdej chwili mogły zostać ostrzelane przez wrogą artylerię lub zaatakowane przez grupę dywersyjno-zwiadowczą. To pierwsze zdarzyło się kilka razy. Najważniejsze to nie ulegać panice, przyjmować wszystko jako rzeczywistość obiektywną. Orientacji, gdzie upadnie i czy walą w ciebie, żołnierz nabiera dość szybko. Potem ludzie po prostu gotują sobie w kuchni barszcz, trzymając się z dala od okien, żeby ich nie trafiło.

ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

Nawiasem mówiąc, przypadki ataków innego typu również mają miejsce, chociaż niemal zawsze były odpierane siłami wojska lub sąsiedniej Gwardii Narodowej. Niestety, nie zawsze bezboleśnie. W okresie pozornego zawieszenia broni, najwidoczniej po kolejnej rotacji w szeregach bojówkarzy, do jednego z okopów naszego batalionu wdarła się rosyjska grupa dywersyjno-rozpoznawcza złożona z szaleńców ze specnazu. Pracowali po cichu, używali nawet broni białej. Najwyraźniej dopadli naszych nieoczekiwanie. Kilku zarżnęli od razu. Reszta podjęła

walkę – nierówną, bo pododdziały piechoty zmotoryzowanej nie zawsze mogą godnie stawić czoła jednostkom specjalnym. A jednak reszcie udało się utrzymać do nadejścia wsparcia. Fatalny zbieg okoliczności sprawił, że Rosjanie pocięli ręce jednemu z naszych towarzyszy broni, znakomitemu w sztukach rzemiosła ludowego, który własnoręcznie i za darmo robił dla wszystkich zapalniczki i inne suweniry z wystrzelanych łusek. Takie rany był dlań poważną tragedią.

Zdarzały się również wypadki komiczne. Obok naszych pozycji przebiegała kolej przeznaczona na jakieś specyficzne potrzeby przemysłowe, nigdy (przynajmniej podczas naszego pobytu) nieużywana. Aż pewnej głuchej nocy do bazy przyszła wiadomość od wywiadu: „Na linii zaobserwowano ruch nieznanego sprzętu. Jego składu oraz ilości nie udało się ustalić. Szykujcie się na wizytę!"

Obecni w bazie oficerowie dowodzący akurat mieli jakieś święto, więc dobrze już zaprawili się wódeczką. Najbardziej zdolny do czynu i najwyższy rangą okazał się kapitan Hennadij Wasyliowycz, człowiek dosyć dobry i spokojny, ale w sytuacjach ekstremalnych pełen emocji i nazbyt porywczy. Tak było i tym razem.

Zerwał się i wyskoczył na dwór w majtkach i kamizelce kuloodpornej, z ręcznym granatnikiem przeciwpancernym w dłoni. Kalkulacja była następująca: linia kolejowa to jedyny niezabezpieczony odcinek, którym może przejechać kolumna sprzętu wojskowego. Dlatego koniecznie należy zlikwidować pierwszy pojazd, aby wstrzymać ruch pozostałych. Tak też uczyniono. Pocisk wystrzelił z błyskiem w stronę pogrążonego w mroku celu zbliżającego się z dużą prędkością. Z ciemności dobiegały gwałtowne, przerażone, okrzyki, które rychło zamieniły się w błaganie o litość.

Teraz dopiero wyszło na jaw, że Wasyliowycz chybił. Czy to wódka spowodowała błąd w obliczeniach, czy zdecydował tak los, faktem jest, że pocisk nie sięgnął celu. I całe szczęście! Okazało się bowiem, że po torach jechał jakiś pojazd techniczny z robotnikami sprawdzającymi stan linii. Dlaczego postanowili robić to nocą i bez uprzedzenia wojskowych – o tym historia milczy. Jednak typowa radziecka niefrasobliwość nieomal kosztowała ich życie. Szczęśliwie skończyło się na wesołych wspomnieniach.

Natomiast inna zabawna historia, która zdarzyła się w naszej bazie, okazała się znacznie bardziej ryzykowna. Był to jeden z tych wypadków, kiedy sami przysparzamy problemów własnej dupie. Zacząć należy od tego, że miejscowości w strefie ATO w dużej mierze pozbawione są populacji męskiej. Mieszkają tu przeważnie kobiety, które na pytanie: „a gdzie są wasi mężczyźni", odwracają wzrok lub opowiadają o wyjazdach na saksy. Prowadzi to do zupełnie logicznych wniosków, że ich faceci poszli na służbę do Rosjan z tamtej strony frontu. Walka

z tym nie wydaje się realna. Ale nasi żołnierze wymyślili sposób również i na to. Nie nowy zresztą i właściwy wszystkim narodom dotkniętym podobnym kryzysem wojennym. W naszej wersji jest nim łagodna ukrainizacja.

Nasi wojskowi odczuli od razu, że miejscowe kobiety cierpią na brak męskiego towarzystwa, zaczęli więc je odwiedzać. W niektórych przypadkach zakończyło się to miłością, ciążą, rodziną i nowym życiem. Większość jednak znajdowała rozrywkę, agitując po swojemu na rzecz Ukrainy i nawiązując łączność z miejscową kobiecą populacją. A jak mawiają w wojsku, łączność bywa trojaka: przewodowa, radiowa i płciowa. Rzecz jasna, najpewniejsza jest ta ostatnia, zatem nasi ustanawiali ją z największą intensywnością.

Jednym z wariantów podobnych kontaktów była lokalna stacja benzynowa położona akurat *vis-à-vis* naszej bazy (na peryferiach wsi, w miejscu niezbyt zaludnionym). Był tam też malutki sklepik, w którym można było dostać wszystko, czego dusza zapragnie. Toteż pojedyncze obiekty w ukraińskich mundurach uczęszczały tu stale (szczególnie ci preferujący „wodę ognistą", w naszej armii najbardziej zawzięci z nich zyskali miano „awatarów" na wzór bohaterów amerykańskiego filmu o niebieskich istotach z fantasmagorycznej planety).

Tamtej nocy jeden z nich postanowił pójść „po jeszcze" dla siebie i przyjaciół. I poszedł. Na tak długo, że kumple od flaszki zaczęli się o niego martwić. Obawiając się, że awatar może wypić wszystko sam, podjęli poszukiwania. W samą porę! Potężne chłopisko było już ładowane przez miejscowych terrorystów do samochodu w charakterze jeńca wojennego. Na szczęście udało się odbić swojego wraz ze wszelkimi możliwymi trofeami, choć separatyści zdołali uciec.

W ogóle kidnaperstwo w strefie ATO i na terenach okupowanych to norma życia i biznes. Rosyjscy łowcy skalpów oraz ich ukraińscy pomagierzy stworzyli cały przemysł porywania ludzi na zamówienie oraz ich sprzedawania: w najlepszym razie rodzinie za kasę, w najgorszym w niewolę do Rosji (często do Czeczenii i Dagestanu). System ten współtworzą miejscowe prostytutki, taksiarze, bezdomni i żebracy oraz inne podejrzane osoby. Nietrudno pojąć, że i nasza stacja benzynowa była takim idealnym punktem do obserwacji oddziałów ukraińskich, zbierania informacji wywiadowczych na ich temat, zwabiania naszych facetów w celu późniejszego porwania.

Niestety, metod zwalczania tego rodzaju punktów nasze oficjalne dowództwo nie opracowało, podobnie jak ukraińskie służby specjalne. Niemniej jednak dowódcy poszczególnych jednostek niekiedy rozwiązywali ten problem na własną rękę i na własne ryzyko. Jednak takie rozwiązania są wielce pożądane dla rosyjskiej propagandy (i zdecydowanie niepożądane dla nas!) upowszechniającej

negatywny stereotyp o podstępnych „ukropach" (obraźliwe określenie ukraińskich żołnierzy stosowane przez separatystów), którzy terroryzują i torturują „rosyjskojęzyczną ludność Donbasu".

Ma się rozumieć, większość miała pełną świadomość, gdzie i po co trafiła, i – choć nie była bez grzechu – przedkładała jednak inne formy wypoczynku oraz spędzania wolnego czasu. Autentyczne odprężenie od wyzwań wojny i rutyny służby stanowiły niezawodnie książki, porządna ukraińska muzyka, dobra prasa i telewizja (o dziwo nasz frontowy telewizor odbierał wyłącznie kanały ukraińskie, żadnych „separskich"!), aktywny sport (bieganie, piłka nożna, ćwiczenia siłowe), przywiązanie do zwierząt, które stawały się nieodłącznymi towarzyszami wojskowych, a często również najlepszymi przyjaciółmi (do batalionu w różnych okresach przyłączały się rozliczne koty i psy, myszy, żółw i kura).

Prowadziłem własny dziennik – był to mój sposób na relaks – w którym zebrałem wiele myśli i wspomnień. W swoim czasie z pewnością złożą się one na opublikowane, kompletne wspomnienia. Fragmenty uporządkowałem już częściowo w ramach tego tekstu.

A jest nad czym myśleć. Nade wszystko – wciąż trwa wojna… Jak ją zatrzymać? Jak przywrócić pokój dla kraju i dla serc ludzkich? Jak oczyścić mózgi obywateli pod okupacją z kłamstwa i propagandy? Jak uwierzyć, że nowa Ukraina nastanie??? Niestety, czas odpowiedzi jeszcze nie nadszedł. Ale znajdziemy je z całą pewnością.

Tłumaczenie z języka ukraińskiego: Marcin Gaczkowski



Fot. Andrij Sniżko